

Barbara Gawryluk

ilustracje: Maciej Szymanowicz



Teraz tu jest
nasz dom



- **R**omuś, już późno. Wstawaj do szkoły! – słyszałem, jak mama przygotowywała śniadanie w kuchni. Ale nie chciałem, żeby ten dzień się zaczął. Najchętniej zawinąłbym się w kołdrę i z powrotem usnął. Nie cierpiałem tej nowej szkoły.

Kiedy pierwszego dnia zjawiliśmy się w niej z mamą i Mikołajem, mój młodszy brat był przerażony. Okazało się, że zerówka miała zajęcia na parterze w dużej kolorowej sali. A on myślał, że będzie niedaleko mnie.

Do szatni zszedł po nas wysoki brodaty nauczyciel.

– Dobrze, że jesteście – powitał nas. – *Dobryj deń*. Jestem wychowawcą Romana – powiedział do mamy. – Mikołaja zaraz zaprowadzimy do jego pani. – A potem znowu zwrócił się do nas: – Rozumiecie, co mówię?

No jasne, że rozumieliśmy.

– U nas w rodzinie wszyscy mówią po polsku – wyjaśniła mama. – Z tym nie będzie kłopotu.

– A to niespodzianka! – uśmiechnął się wychowawca. – A ja się nawet nauczyłem kilku słów po ukraińsku.

Jesteście pierwszymi uczniami z Ukrainy w naszej szkole. A gdzie się nauczyliście mówić po polsku?

– My z mężem studiowaliśmy przed laty w Polsce, w Krakowie, mąż pochodzi z polskiej rodziny, w domu na Ukrainie też często rozmawialiśmy po polsku. A dzieci uczyły się języka w ośrodku, kiedy przyjechaliliśmy z Doniecka.

– Na pewno spodoba wam się w naszej szkole – wychowawca popatrzył na Mikołaja. – Chodź, odprowadzę cię do zerówki.

Mikołaj trzymał mnie cały czas za rękę.

– A w Doniecku jest wojna – powiedział cicho.

W mojej klasie od początku najbardziej wkurzali mnie Adrian i Damian. Siedzieli w ławce przede mną, co chwilę się odwracali i robili głupie miny.

– Romuś, może czegoś nie rozumiesz? Może trzeba ci coś wytłumaczyć?

Ciągle tak gadali, a ja dobrze wiedziałem, że robią mi na złość. Od razu pierwszego dnia nasz pan uprzedził całą klasę, że nie najlepiej mówię po polsku, że trzeba mi pomagać, że czasem mogę czegoś nie zrozumieć. W ten sposób wszyscy dowiedzieli się, że przyjechałem z Ukrainy i właśnie wprowadziłem się do bloku na osiedlu.

– Ale ci nie dokuczają? – dopytywali się rodzice. – Nie przezywają?



Jak im to powiedzieć? Jak wytłumaczyć? Musieliby zobaczyć te głupie uśmiechy. I usłyszeć te zaczepki za plecami:

– O, Ruski!

Pan przeprowadził specjalną lekcję o Ukrainie. Pokazał ją na mapie, opowiedział o historii, ale jak doszedł do dzisiejszych czasów, to myślał, że będę chciał coś opowiadać. Ale nie chciałem, bo i tak by nic z tego nie zrozumieli. Nie potrafiłbym im opowiedzieć o tym, co działo się w naszym mieście.

Na przerwie wysoki, krótko ostrzyżony chłopak zapytał mnie, czy gram w piłkę.

– Cześć, Łukasz – podał mi rękę. – Jestem kapitanem naszej drużyny. Mamy komplet, ale jakbyś chciał... tylko musisz być naprawdę dobry.

Usłyszeli to Adrian i Damian i biegnąc na boisko, znowu zaczęli drwić.

– Romuś, umiesz grać? A jak ty zrozumiesz, co kapitan woła? Może ci trzeba pomóc? Co, Romuś?

Nie poszedłem za nimi na boisko. Nie tym razem. I nie powiedziałem im, że w Doniecku stałem na bramce w szkolnej drużynie.

Jeszcze niedawno w Doniecku na Ukrainie mieszkaliśmy w bloku na obrzeżach miasta. Mama nie pracowała, zajmowała się Natalią, Mikołajem i mną, taty często nie było w domu nawet kilka dni. Duża firma

budowlana wysyłała go w delegacje. Na Ukrainie ludzie stawiali nowe domy, budowali warsztaty i fabryki, tata miał dużo pracy.

Często spędzaliśmy czas z dziadkami. Mieliśmy do nich blisko, ich dom stał dwie ulice dalej. U babci w kuchni zawsze pachniało pysznym obiadem: barszczem, pierogami z serem, gołąbkami z ziemniakami. Babcia lubiła układać z Natalią puzzle, a wieczorami opowiadała nam ukraińskie bajki i historie z dawnych czasów. Dziadek jeździł z nami na rowerowe wycieczki, łowiliśmy razem ryby w stawie, chodziliśmy na grzyby do pobliskiego lasu albo obserwowaliśmy w parku wieńcówki i dzięcioły.

Ale od pewnego czasu tata coraz częściej był w domu. Już nie wyjeżdżał w kilkudniowe trasy. Rodzice wieczorami zamykali się w kuchni i rozmawiali półgłosem po polsku, tak jakby nie chcieli, żebyśmy rozumieli. Niektóre słowa rozpoznawaliśmy: „praca”, „dom”, „dzieci”. A potem doszło do nich to najstraszniejsze: „WOJNA”. Słyszeliśmy je prawie każdego wieczoru.

– Dlaczego oni mówią o wojnie? – pytał Mikołaj, kiedy leżeliśmy w łózkach. Natalka dawno już spała. – Gdzie jest wojna?

– Nie bój się – próbowałem go pocieszać. – To daleko. Wczoraj widziałem w telewizji.

– No jak widziałeś!? Przecież tata wyłącza telewizor, od razu jak się zaczynają wiadomości – zdziwił się Mikołaj, wychylając się do mnie z górnego pościania.

– Tak, ale wczorajostałem trochę przy drzwiach, nie zauważył mnie, włączył telewizor, bo myślał, że już jestem w łóżku. I zobaczyłem żołnierzy, czołgi i wozy pancerne. Jechały przez miasto.

– Przez Donieck?

– Nie, przez jakieś inne, daleko. Mówili, że to na Krymie. Że już tam nie będzie Ukrainy.

– A tu też nie będzie Ukrainy? To co będzie? Wojna? I żołnierze do nas przyjdą?

– Nie bój się. Tata coś wymyśli.

Nie chciałem, żeby Mikołaj się bał. Ale wcale nie byłem pewny tego, co powiedziałem. Bo o wojnie mówili już wszyscy.

Wkrótce tata stracił pracę. Przestał jeździć w delegacje, miał dużo wolnego czasu. Rodzice byli niespokojni i smutni, a do słów, które wieczorami docierały do naszego pokoju z kuchni, doszły jeszcze: „bieda”, „pieniądze”, „bezpieczeństwo”. I to ciągle powracające: „WOJNA”.

– Romek – Mikołaj wiercił się na górze w swoim łóżku. – Boję się usnąć. A jak w nasz dom rąbnie bomba? I nas zasypie? A Olek mi mówił, że jego wujek jest żołnierzem. I dziadek też. Tato! – zaczął wołać. – Tato, przyjdź!

– Ciszej, bo obudzisz Natalkę – tato usiadł na krześle.

– Tato, a ty też pójdziesz na wojnę? – zapytał go Mikołaj. – Bo u Olka i wujek, i dziadek są w wojsku. Pokazywał mi ich zdjęcia w mundurach. A Olek ma taki pistolet z drewna. Goniliśmy się dzisiaj, on ciągle strzelał, ale ja nie miałem swojego pistoletu.

– Nie, synku. Nie pójde na wojnę – tata pogłaskała Mikołaja po głowie i poprawił kołderkę Natalii. – Mam was i to wy jesteście dla mnie najważniejsi. I nie chcę, żebyście się z Olkiem bawili w wojnę. Muszę o tym porozmawiać z jego rodzicami.

Tato wyszedł do sąsiadów. Było już późno, na ulicach Doniecka zapaliły się lampy uliczne i wtedy z daleka usłyszeliśmy dziwny pomruk. Zbliżał się do naszego osiedla. Nie wytrzymał i podbiegliśmy do okna. Naszą ulicą sunęły ogromne czołgi.

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć – liczyłem. – I jeszcze, jeszcze jadą!

– Chłopy! Natychmiast odejdźcie od okna! – do pokoju wpadł zdenerwowany tata.

– Oni będą strzelać? Będą strzelać do nas? – rozpląkał się Mikołaj.

– Nie, synku. Wierzmy, że nie będą – tata przytulił Mikołaja. – Nie patrzcie na to. Wskakujcie do łóżek, no już! Włączamy bajkę, może być ta o złotej rybce? A ty, Romek, załóż słuchawki, masz jeszcze kilka rozdziałów *Harry'ego Pottera*, prawda?

Nie wiem, kiedy usnąłem. Nagle obudził mnie hałas i krzyk mamy. Wpadli z tatą do naszego pokoju.

– Wkładajcie buty, bierzcie koce, biegniemy do piwnicy! – tata podenerwowanym głosem popędzał mnie i Mikołaja. Porwał na ręce Natalię i już byliśmy na klatce.

– Czemu jest tak ciemno? – płakał Mikołaj. – Nic nie widzę!

– Wyłączyli prąd, ale mamy latarkę, synuś, szybko, jest alarm! – wołała mama.

Ktoś mnie popchnął i prawie wpadłem na tatę z Natalką na rękach. Wszyscy sąsiedzi w pośpiechu schodzili razem z nami.

W piwnicy usiedliśmy pod ścianą. Było ciemno, ciasno, śmierdziało pleśnią. Natalka zaczęła płakać, a Mikołaj zakrył głowę rękami. Nagle zadzwonił telefon taty.

– U nas też alarm – mówił. – Nie, nic nie słyhać. Jesteśmy wszyscy w piwnicy. Nie, prądu też nie ma. A wy... halo, halo!

– Kto to? – zapytała mama.

– Anuska. W ich dzielnicy zaczęło się bombardowanie. Też siedzą w piwnicy. Zerwało połączenie.

Przez kilka kolejnych dni nie wychodziliśmy z domu, ale wróciliśmy przynajmniej do mieszkania. Zza okna dochodziły nas coraz częściej wybuchy, strzały i syreny alarmowe. Szkoła została zamknięta, podobno bomba uszkodziła dach.

Do babci i dziadka wprowadziła się ciocia Anuszką z dwiema kuzynkami. Tej nocy, kiedy schowaliśmy się w piwnicy, w ich dom trafiła rakietą. Na szczęście nic im się nie stało. Ze spalonego mieszkania uratowały tylko trochę ubrań i zabawek.

Babcia i dziadek przychodzili wieczorami do rodziców, wszyscy zamykali się w kuchni i choć próbowali szeptać, to do naszego pokoju i tak docierały ukraińskie i polskie słowa. A wśród nich jedno nowe: „ewakuacja”.

– Co to jest „ewakuacja”? – Mikołaj najczęściej spał teraz ze mną w łóżku na dole. Bał się wchodzić na górę. Wyobrażał sobie, że jeśli bomba uderzy w nasz dom, to najpierw trafi w jego łóżko pod sufitem. Na dole czuł się bezpiecznie.

– Nie wiem. Ale nie bój się. Na pewno coś lepszego niż wojna.

Jakby w odpowiedzi usłyszeliśmy z daleka potężną eksplozję, a po chwili okno rozjaśniła łuna pożaru. W pokoju od razu zjawiała się mama. Najpierw zajrzała do łóżeczka Natalki, której mocnego snu nie zakłóciły nawet głośne wybuchy, a potem usiadła na moim łóżku.

– Podjęliśmy z tatą decyzję. Za kilka dni wyjeżdżamy z Doniecka. Polecimy do Polski.

– Wszyscy polecimy? – zapytałem.

– Prawdziwym samolotem? – chciał wiedzieć Mikołaj.

– Tak, prawdziwym samolotem. Tata, ja i wy troje. Polecimy do Polski, gdzie nikt nie strzela, nie ma czołgów na ulicach, jest spokojnie i bezpiecznie.

– A babcia? Dziadek? Oni też polecą? – nie wyobrażałem sobie, że mielibyśmy się rozdzielić.

– O tym właśnie dyskutujemy od kilku dni. Babcia i dziadek nie chcą lecieć. Jest takie mądre polskie przysłowie: „Starych drzew się nie przesadza”. Starzy ludzie nie chcą zmieniać miejsca, nie chcą szukać nowego domu. Babcia i dziadek zdecydowali, że zostaną w Doniecku. Trudno wam to zrozumieć, ale w naszej rodzinie nic nie jest proste. Tata czuje się Polakiem, ja raczej Ukrainką. A dziadkowie nie mają nic przeciwko temu, żeby tu była Rosja. I wierzą, że nastaną jeszcze dobre czasy. Ale my musimy zacząć nowe życie. Jutro się pakujemy.

To było bardzo trudne. Jak spakować do niewielkiego plecaka wszystko to, co ważne? Klocki i samochody, lalki i koniki, układanki i książki.

– A nasze rowery? Jak je zapakujemy? – dopytywał Mikołaj.

– Nie możemy ich zabrać ze sobą – tłumaczył tata. – Lecimy samolotem wojskowym. Każdy pasażer może mieć tylko jeden mały bagaż. Pomyśl, nam i tak jest lepiej, będzie tym samolotem lecieć wielu ludzi, całe rodziny, które straciły wszystko, tak jak ciocia Anuszką. Ona nie ma co pakować. My z mamą nawet nie bierzemy ubrań, bo chcemy do naszych plecaków zmieścić jak najwięcej waszych rzeczy.



Starych drzew
się nie przesadza

– To rowery zostaną? – upewnił się Mikołaj.

– Tak, zostaną. Chłopcy – dodał tata – przedmioty nie są najważniejsze. Najważniejsze jest nasze życie i zdrowie. Tu nie jest bezpiecznie, a ja nie wybaczyłbym sobie nigdy, gdyby coś się wam stało.

– Tak jak wujkowi Olka? – zapytał Mikołaj.

– Wujek Olka jest żołnierzem, brał udział w walkach – uściślił tata. – Został ranny, teraz jest w szpitalu i powoli dochodzi do siebie. Ale Olek pewnie już niechętnie bawi się w wojnę, prawda?

– E tam – mruknął Mikołaj. – Ciągłe się bawi. Biega po klatce schodowej i strzela z tego swojego drewnianego pistoletu jak głupi. Nie chcę się już z nim bawić.

– Dzieci zawsze bawiły się w wojnę – powiedział tata. – Ja też. Jak byłem mały, to miałem plastikowy karabin i z kolegami utworzyliśmy oddział partyzancki Błyskawica. Nikt z nas nie chciał zostać niemieckim żołnierzem. Wszyscy byliśmy partyzantami. Nie przypuszczaliśmy wtedy, że wojna zdarzy się w naszym życiu naprawdę.

Dorośli czasem opowiadali o tamtej wojnie z Niemcami dawniej, o tej teraz nie chcieli wiele mówić.

– Tato, czego oni tu chcą? – zapytałem.

– Rosjanie? Chcą nasz region i nasze miasto przyłączyć do Rosji, tak jak to zrobili na Krymie. A tu jest Ukraina, chociaż mieszkają tu i Ukraińcy, jak mama i babcia, i Polacy, jak ja, i Rosjanie, jak wasz dziadek. Chcielibyśmy tu żyć, ale spokoju i pokoju tu chyba długo nie będzie.

– Tato, ale my przecież tylko trochę mówimy po polsku, a Natalka to nawet jednego słowa nie zna, to jak my będziemy rozmawiać? – zaniepokoił się Mikołaj.

– Będziecie chodzić do przedszkola i do szkoły. Będziecie się uczyć polskiego języka. Zobaczycie, jak to szybko pójdzie. To najmniejsze zmartwienie.

– A największe? – zapytał Mikołaj.

– Co największe? – nie zrozumiał tata.

– No największe zmartwienie?

– Największe zmartwienie teraz, to spakować pięć małych plecaków – zakończył rozmowę tata.

Wyszliśmy z domu bardzo wczesnie rano. Było jeszcze ciemno, wiał lodowaty styczniowy wiatr, w nocy napadało sporo śniegu. Kiedy otworzyliśmy drzwi klatki schodowej, okazało się, że w nocy na placu zabaw stała rosyjska wyrzutnia rakietowa.

– Nawet tu weszli, na nasze podwórko! – mama z przerażeniem patrzyła na wielkie działo.

– Nie zatrzymujcie się – tata zdenerwowany oglądał się za siebie. Na szczęście przy wyrzutni nie było widać żołnierzy.

Szybkim krokiem przeszliśmy przez osiedle. Tata dźwigał najcięższy plecak i niósł Natalkę na rękach, mama miała dwa plecaki, swój i Natalii, my z Mikołajem nieśliśmy swoje. Brnęliśmy w mokrym śniegu, ślizgaliśmy się na pokrytych lodem chodnikach. Tata

przyświecał latarką, bo nieczynne były wszystkie uliczne lampy. Z daleka cały czas słychać było wystrzały i wybuchy. Niebo co chwilę rozjaśniało się łuną pożarów.

Nagle przed nami wyrosła jakaś dziwna płatanina metalu, szkła i gruzu.

– To supermarket – powiedział tata. – Tyle po nim zostało. Musimy jakoś obejść to gruzowisko, nawet nie wiedziałem, że nie ma tu przejścia. Zaraz dojdziemy do szkoły i będziemy w połowie drogi.

Właśnie zaczynało świtać. Nie mogłem uwierzyć, kiedy zobaczyłem budynek, do którego chodziłem przez trzy lata. W oknach nie ocalała ani jedna szyba, a dach zapadł się do środka. Metalowa brama leżała na ziemi.

– Nieprędko wrócą tu dzieci – odezwała się mama. – Jak oni mogą, jak mogą... – powtarzała przejętym głosem. – Szczęście, że lekcji już nie było, jak ta bomba spadła. Ale dyrektor jest w szpitalu, i pani od informatyki też. Podobno chciała ratować komputery i została ranna.

Przeszliśmy przez park, a potem wzdłuż szpitala. Pod budynek co chwilę podjeżdżały samochody, wyskakiwali z nich żołnierze i z rannymi na noszach wbiegali do środka.

Nagle usłyszeliśmy huk. Za nami, na parkingu przed sklepem płonął samochód, a od niego zapalił się następny.



- Dzieci, szybciej!

– Dzieci, szybciej! – poganiał nas tata. – Jeszcze ta ulica, zakręt i będziemy na miejscu. Musimy biec, robi się niebezpiecznie.

Już nie oglądaliśmy się za siebie.

Po kilku minutach dotarliśmy na miejsce zbiórki. Na dużym placu otoczonym przez ukraińskie wojsko czekało pięć autobusów. Ludzie ładowali torby, plecaki i walizki do bagażników. Przy wejściu do każdego z autobusów stał człowiek z identyfikatorem na szyi. Podeszliśmy do jednego z nich. Tata podał mu nasze paszporty, a mężczyzna sprawdził listę.

– Baranowscy? Rodzice i trójka dzieci. Bagaże do luku i szybko wsiadajcie. Robi się gorąco, zaraz ruszamy, mamy już komplet.

W autobusie dostaliśmy termosy z herbatą, kanapki i herbatniki. Mama ułożyła Natalię na siedzeniu i przykryła ją kocem. Mikołaj siedział wpatrzony w okno, w ogóle się nie odzywał. Rodzice witali się ze znajomymi, odnaleźliśmy też ciocię Anuszkę i kuzynki. Gdy autobus ruszył, obejrzałem się. Zobaczyłem czołg wjeżdżający na parking i wyskakujących z niego żołnierzy.

W autobusie pełnym ludzi było zupełnie cicho. Małe dzieci spały, dorośli po raz ostatni patrzyli na mijane po drodze wioski. Weronika, moja starsza kuzynka, cały czas próbowała się do kogoś dodzwonić. Wpatrywała się w ekran komórki.

– Znowu nie ma zasięgu – powiedziała do cioci Anuszki. – Przecież muszę mu powiedzieć, że wyjeżdżamy. Mieli tu być, nie rozumiem, co się stało.

– Kto miał tu być? – zapytałem.

– Sasza, mój chłopak. Mieli się ewakuować całą rodziną. I nigdzie ich nie ma, sprawdziłam we wszystkich autokarach – mówiła coraz bardziej zdenerwowana. – Mamo, ja nie chcę jechać bez Saszy.

– Sasza wie, że zdecydowaliśmy się na ewakuację – uspokajała ją ciocia Anuszka. – Nie rozumiem, czemu ich tu nie ma. Może coś im przeszkodziło albo zmienili plany. Wiemy, że do wczoraj nie mogli odnaleźć starszego brata Saszy, Jurka. Tata Saszy wcale nie był przekonany, że powinni wyjechać. Mówił mi, że Jurek nie dawał znaku życia i bardzo się o niego martwi.

– Ale ja muszę się zobaczyć z Saszą! – krzyczała Weronika. – Nie zostawię go tutaj! Nic mnie nie obchodzi, że jedziecie, ja chcę wysiąść!

– Teraz już nic nie możemy zrobić – wtrącił tata stanowczym głosem. – Niestety, Weroniko, to my, dorośli, musimy podejmować decyzje. Nie wiemy, co postanowili rodzice Saszy. Teraz nie ma łączności, ale w końcu się do niego dodzwonisz.

– Nienawidzę was! – zaczęła płakać Weronika. – Nie chcę wyjeżdżać! Nienawidzę tej wojny! – skuliła się na siedzeniu, ściskając telefon w ręce. Co chwilę sprawdzała ekran, próbowała dzwonić, pisać esemesy, ale bez powodzenia.

Było mi jej żal. Tata miał rację, my i tak mieliśmy szczęście. Nikomu z naszej rodziny nic się nie stało, wszyscy byliśmy zdrowi. Wtedy przypomniałem sobie o dziadkach i o tych nerwowych wieczornych rozmowach w naszej kuchni. My też nie byliśmy w komplecie. Babcia i dziadek zostali w Doniecku. A jak nie zdążą uciec do piwnicy w czasie alarmu? A co zrobią, jak bomba trafi w ich dom? Gdzie się podzieją?

Konwój pięciu autobusów eskortowany był przez ukraińskich żołnierzy. Kilka razy zatrzymywaliśmy się, widzieliśmy przez okna, jak w drugą stronę jechały samochody pełne żołnierzy. W końcu dotarliśmy do Charkowa i boczną drogą pokierowano nas na lotnisko. Na płycie czekały samoloty.

– Tato, ten samolot jest jakiś dziwny – wyszeptał Mikołaj, kiedy wprowadzono nas do środka, usadzono pod ścianą i kazano zapiąć pasy. – Nie taki jak na filmach.

– Bo to nie jest samolot pasażerski – tłumaczył tata – tylko transportowa CASA. Najczęściej latają takimi maszynami żołnierze. Polskie wojsko przewiezie nas w bezpieczne miejsce.

Obok mnie usiadła Weronika. Już straciła nadzieję na kontakt ze swoim chłopakiem. Nie odzywała się do nikogo.

– Weronika, nie martw się – próbowałem ją pocieszyć. – Przecież wrócimy.



– Tak myślisz? – popatrzyła na mnie i pokręciła głową. – Nie słyszałeś, co mówił twój tata? Rodzice chcą, żebyśmy w tej Polsce zamieszkali. To nie wakacje, to nie dwa-trzy miesiące. Mamy tam dostać mieszkania, chodzić do szkoły, mamy mówić po polsku. Może już nigdy nie będziemy mogli wrócić do domu. Cholerna wojna!

Pilot włączył silniki. Samolot zaczął kołować do startu, na pokładzie ustały rozmowy. Kiedy wzbiliśmy się w powietrze, wyjrzałem przez niewielkie okienko. W dole było zupełnie białe.

– Zapamiętaj ten moment – powiedział do mnie tata.
– I taką spokojną, piękną, zimową Ukrainę.

– To my nie będziemy mieć swojego pokoju? – zdziwił się Mikołaj, kiedy pod wieczór dotarliśmy do położonego w lesie ośrodka dla uchodźców. Tata mówił już wcześniej, że będziemy tu mieszkać kilka miesięcy.

– Na razie nie – mama rozpakowywała plecaki. – Ale mamy duży ciepły pokój, wygodne łóżka, Natałka ma swoje łóżeczko. Nasze rzeczy bez problemu zmieszczą się w szafie.

– A gdzie jest kuchnia? – dopytywał tata.

– Kuchnia jest wspólna dla wszystkich – wyjaśniała dziewczyna, która zajmowała się nami, odkąd wysiedliśmy z autobusu. – Macie zaopatrzoną lodówkę, dzisiaj czeka na was wspólna kolacja, a tu mam prezenty dla dzieci na powitanie.

– Patrz, mamó, takie same klocki jak w domu! – ucieszył się Mikołaj. – A ty co masz, Natałka? Układanki? O, czekoladki są! Mamó, możemy?

– Najpierw kolacja. Po całym dniu podróży musimy zjeść coś ciepłego – powiedziała mama.

– Wszystko już gotowe, zapraszamy na stołówkę – dziewczyna pokazała nam drogę. – Za chwilę przyjadą kolejne autobusy, ale jedzenia na pewno wystarczy dla wszystkich.

Przy długich stołach siedziało kilka osób. Dostaliśmy gorącą zupę, makaron z sosem i placek z jabłkami na deser. Zjedliśmy wszystko do ostatniego okruszka, nawet Natalia nie grymasiła. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się w łózkach, tata wyjął jedną z książek, które dostaliśmy w ośrodku na przywitanie.

– Tak zaczniemy nasz pobyt w Polsce – powiedział.
– Od polskiej legendy. Już niedługo sami będziecie potrafili czytać te książki.

– Bo one są napisane po polsku, tak? – upewniał się Mikołaj.

– Tak. To będzie też wasz język. Nauczycie się go w przedszkolu i w szkole, w domu też będziemy częściej rozmawiać po polsku.

– Ale przecież mama nie umie mówić tak jak ty – zdziwił się Mikołaj.

– Kiedyś na studiach umiałam bardzo dobrze, a teraz też będę tu chodzić do szkoły – uśmiechnęła się mama.

– Jak to?! – zawołaliśmy równocześnie. – Będziesz się z nami uczyć?

– Pewnie nie z wami. Zaczę specjalny kurs dla dorosłych. Ale możemy się umówić, że ćwiczyć będziemy razem w domu.

– Ja chcę do domu! – odezwała się nagle Natalia. – Do mojego łóżeczka! – I zaczęła cicho płakać.

Mama przytuliła ją i szepnęła do ucha:

– Teraz tu będzie nasz dom. Jesteśmy razem, mama i tata, Romuś, Mikołaj i Natałka. A teraz już słuchaj legendy.

– Dawno, dawno temu – zaczął tata – w grodzie króla Kraka zamieszkał smok. A że mieszkał pod zamkiem na Wawelu, nazywano go Smokiem Wawelskim...

Kilka tygodni upłynęło nam na przyzwyczajaniu się do nowego miejsca. Mieszkaliśmy rzeczywiście trochę jak na wakacjach, w lesie nad jeziorem. Ośrodek położony był na Mazurach. Zima nie była tu tak mroźna, jak na Ukrainie. Dni były coraz dłuższe, mogliśmy z chłopakami bawić się na boisku, czasem graliśmy w piłkę. Przed południem mieliśmy różne zajęcia w świetlicy i lekcje polskiego. Z czasem zaczęliśmy jeździć do pobliskiego miasteczka do szkoły, a Natalia do przedszkola.

Tylko raz spadło trochę śniegu i droga prowadząca przez las do ośrodka zrobiła się tak śliska, że nie dojechał po nas szkolny autobus. Tata zorganizował w świetlicy oglądanie filmów, a potem dodatkową lekcję

polskiego. Zdziwił się bardzo, kiedy okazało się, że to my z Mikołajem najlepiej radzimy sobie z polskimi słówkami, a starsze chłopaki nic nie potrafią po polsku powiedzieć. Między lekcjami pozwolił nam włożyć ciepłe buty i kurtki i wybiec na śnieg przed ośrodkiem.

Z Mikołajem, Natałką i młodszymi dziećmi ulepiliśmy bałwana. Śnieg był idealny, mokry i ciężki. Kiedy toczyliśmy ostatnią kulę, kilku najstarszych chłopaków zniknęło w pobliskich zaroślach, a po chwili pojawili się z patykami w rękach. Ułożyli je jak broń i biegnąc w naszym kierunku, udawali, że składają się do strzału.

– *Ruki w werch! Zdawajtesia!** – krzykali.

Stanęliśmy koło prawie gotowego bałwana, Natałka schowała się za mnie i zaczęła płakać. Mikołaj chwycił mnie za rękę.

– *Zdawajtesia!* – wrzeszczeli, popychając nas patykami.

Na podwórko wybiegł tata w samej koszuli.

– Dość! Dość! – krzyczał zdenerwowany. – Nie pozwalam wam! Natychmiast przestańcie!

Chłopcy zatrzymali się i opuścili patyki.

– Nie znacie innych zabaw?! – krzyczał tata. – Po co uciekaliście przed wojną? Żeby o niej zapomnieć! Żeby żyć w pokoju! Żebyście byli bezpieczni! A wy straszycie młodsze dzieci! Mało wam było wystrzałów, eksplozji, czołgów? Dość tego! Dość! – chyba nigdy dotąd nie widziałem naszego taty tak zdenerwowanego.

* *Ruki w werch! Zdawajtesia!* – Ręce do góry! Poddajcie się!

Chłopcy stali jak wmurowani. Nie spodziewali się takiej reakcji. W końcu najstarszy z nich zebrał patyki od pozostałych i wyrzucił je w krzaki.

– *Pereproszujemy* – odezwał się cicho. – Nie chcieliśmy ich straszyć. Ale naprawdę nie ma tu co robić...

– Zapraszam z powrotem do świetlicy – tata powoli się uspokajał. – Chyba potrzebujecie porządnej lekcji historii. Musicie nauczyć się nowego życia, dowiedzieć jak najwięcej o kraju, który nas przyjął. Przed chwilą nie byliście tacy odważni. Niewiele wam dały lekcje polskiego, małe dzieci mówią lepiej niż wy. Jak sobie poradzicie, gdy traficie za kilka miesięcy do normalnej szkoły? Trzeba się będzie uczyć matematyki, fizyki, biologii, a wy ani be, ani me. Młodszym włączę bajkę o pingwinach, a wam opowiem, co takiego wydarzyło się w Polsce w czasie ostatnich lat, że mogła przyjąć nas, uchodźców z Ukrainy.

W tym ośrodku nie było źle, ale z każdym tygodniem coraz bardziej denerwował mnie brak własnego kąta. Pokój był ciasny, telewizję w świetlicy oglądali przeważnie dorośli i ciągle szukali wiadomości z Ukrainy. Tata się wtedy denerwował i wysyłał mnie do pokoju. A przecież widziałem, że nawet w polskiej telewizji pokazywali ruiny domów, czołgi na ulicach i płaczących ludzi.

– Nie musimy tego oglądać – powtarzał tata. – Właśnie od takich strasznych wydarzeń uciekliśmy. A o tym, co się dzieje, opowiadają mi babcia i dziadek.



Nie mogłem przestać o nich myśleć. Trudno było mi zrozumieć, dlaczego zostali. Tata znowu mówił o tych starych drzewach, których się nie przesadza, a mama miała łzy w oczach. Kiedyś podsłuchałem, jak rozmawiała przez telefon z babcią. Ciągle powtarzała, że jest nam dobrze, że jesteśmy zdrowi i żeby się o nas nie martwili.

– Babcia opowiadała, że przez kilka dni nie było wody i że często wyłączają prąd – mówiła mama, przygotowując dla nas kolację. – I pytała, jak sobie radzicie w szkole.

– Mamo, a ty wiesz, że Natałka to już normalnie po polsku mówi? – Mikołaj układał na kanapkach kawałki żółtego sera i ogórka. – Słyszałem, jak dzisiaj bawiła się z Helenką. I uczyła ją polskich słów.

– Jak to? – zdziwił się mama.



– No tak. Bawiły się w sklep, mają tam w pudełku stragan, wagę, różne plastikowe warzywa i owoce. Natałka sprzedawała je Helence i kazała powtarzać, jak się nazywają. Nawet te trudne – kalafiory, brokuły, gruszki i winogrona. Ona wszystko wie.

– To znaczy, że nauczyła się szybciej niż ja – roześmiała się mama. – Mnie to się ciągle wszystko miesza. Czekaj, przetestujemy ją. Zawołaj ją do kuchni.

Natałka uwielbiała wszystkie kuchenne zajęcia. Usiadła przy stole i z deski przekładała na kromki pokrojone warzywa.

– Natałka, a to małe jak się nazywa po polsku? – zapytała mama.

– Rzodkiewka – odpowiedziała Natałka. – A to jest szczypiorek, a ten zielony to koperek.

Rzeczywiście, wszystko wiedziała!

Potem posypywała szczypiorkiem plasterki pomidorów i recytowała:

*– Na straganie w dzień targowy
takie słyszy się rozmowy:*

*„Może pan się o mnie oprze,
pan tak wędnie, panie koprze”.*

*„Cóż się dziwić, mój szczypiorku,
leżę tutaj już od wtorku”.**

* Jan Brzechwa, *Na straganie*.

– Co ty mówisz, Natalia? – roześmiała się mama. – Co to za wierszyk?

– Nauczyłam się w przedszkolu, pani nam pokazywała wszystkie warzywa i owoce i czytała wierszyk. On ma tytuł *Na straganie*. A potem robiliśmy sałatkę.

– Oj, to chyba ja na moim kursie polskiego muszę zaproponować zmiany – pokiwała głową mama. – Twoja nauka jest nie tylko szybsza, ale i weselsza, i smaczniejsza.

Kiedy dwa dni później wróciliśmy z miasteczka szkolnym autobusem, zobaczyliśmy przed ośrodkiem karetkę pogotowia.

– Chyba komuś coś się stało! Ktoś zachorował! – zawołał Mikołaj, kiedy wpadliśmy do pokoju.

– Nie, spokojnie – uśmiechnęła się mama. – Karetka czeka na mamę Helenki, panią Oksanę.

– Będzie dzidzius? Już dzisiaj? Mówiłaś, że dopiero za miesiąc? – dziwił się Mikołaj.

– Tak to jest, kiedy rodzą się dzieci – tłumaczyła mama. – Na ciebie musieliśmy czekać dwa tygodnie dłużej, niż się spodziewaliśmy. A Natalia przyszła na świat trzy tygodnie przed czasem. Oksana wierzyła, że dziecko urodzi się już w nowym mieszkaniu. Przecież za dwa tygodnie mają się przeprowadzić do Olsztyna.

– A my kiedy się przeprowadzamy? – zapytałam.

– No właśnie chcieliśmy wam powiedzieć, że jutro odwiedzi nas pani Anna i opowie o miejscu, które może stanie się naszym domem. Czas opuścić ośrodek.

– To znaczy, że nie wrócimy do Doniecka? – mój brat się nie poddawał. Ciągłe nie przyjmował do wiadomości, że to jest podróż w jedną stronę.

– Nie pojedziemy do Doniecka, Mikołaju – potwierdził tata. – Wiem od babci i dziadka, że cały czas jest tam bardzo niebezpiecznie. I nie ma na razie szans na pokój. Niedługo pojedziemy do miasta, w którym zamienimy nowe życie.

Z korytarza usłyszeliśmy ciche pokrzykiwanie, kilka poruszonych głosów, a potem oddalający się sygnał karetki.

– Oksana pojechała do szpitala – mama odeszła od okna. – To teraz trzeba tylko czekać na wieści.

Usłyszeliśmy pukanie do drzwi. To Helenka przyszła z tatą, panem Markiem.

– Jadę do szpitala, do Oksany, chcę być przy niej. Nie wiadomo, jak długo to potrwa. Czy Helenka mogłaby u was zostać?

Helenka bawiła się z Natalią w sklep, potem układaliśmy puzzle, a po kolacji było wszystko wiadomo. Pani Oksana urodziła zdrowego chłopczyka. Pan Marek wrócił ze szpitala. Z wrażenia nie mógł usiedzieć na miejscu. Chodząc od okna do drzwi, opowiadał jak nakręcony:

– Jest śliczny, ma czarne włoski, duże niebieskie oczy i w ogóle nie płacze. I jest bardzo podobny do Helenki. Daliśmy mu na imię Jan.

– Kiedy będziemy go mogli zobaczyć? – zapytałem.

– Za dwa dni wrócimy wszyscy do ośrodka. Tak powiedzieli mi w szpitalu. Przedstawimy wam naszego synka, a wkrótce potem przeniesiemy się do Olsztyna. Już tam urządzam pokój dla dzieci.

– To jest prezent dla Jasia – Natalia wyjęła z koszyka białą foczkę. – Ja mam już dużo zabawek, a Jaś nie ma nic. To jest Sofia. Można ją przytulać. Jak Jasiu będzie tęsknił do babci i dziadka, to Sofia mu pomoże. Bo ja bardzo tęsknię. I mnie pomaga miś Bazyl.

Misia Bazyla Natalka wzięła z domu w Doniecku. Kiedy układała się do spania, przytulała go i coś tam do niego mówiła. Czasem płakała, chociaż nie tak często jak Mikołaj. Rodzice musieli go ciągle wieczorami uspokajać i pocieszać.

– Mamo, a kto teraz jeździ na moim rowerku? – pytał na przykład.

– Rowerek stoi w wózkowni, tak jak zawsze – odpowiadała mama.

– A kto się bawi naszymi zabawkami? – nie ustępował Mikołaj.

– Nikt. Zabawki zostały w waszym pokoju.

– Czekają na nas? – z małego łóżeczka odzywała się przytulona do Bazyla Natalia.

– Pewnie już się pogodziły z tym, że do nich nie wrócicie. Może kiedyś będą się nimi bawiły jakieś inne dzieci. Zabawki lubią zmieniać właścicieli. Dzisiaj do Jasia pojechała foczka Sofia. Wy dostaliście od polskich dzieci całe pudło klocków, układanek, samochodzików i lalek, prawda? Pewnie większość zabawek zostawimy w ośrodku dla następnych rodzin, które tu przyjadą.

– Ale Bazyla bierzemy? – śpiącym głosem upewniła się Natalia.

– Jasne, twój Bazyl pojedzie z nami. Czekają nas znowu pakowanie, przeprowadzka, inne miejsce, nowy adres. To nasze ostatnie tygodnie w ośrodku. Poczekamy, aż skończy się rok szkolny, i ruszamy w drogę.

– Ja muszę skończyć przedszkole – zauważył Mikołaj.

– I ja też, ja też – dobiegł senny szept z łóżeczka Natalki.

Uświadomiłem sobie, że znowu pójde do nowej szkoły. Dopiero co zacząłem się przyzwyczajać do tej w miasteczku. Nie bardzo ją lubiłem, to fakt. Do mojej klasy nie chodził nikt z ośrodka. Czułem się w niej obco i nie zawsze rozumiałem, co się dzieje na lekcjach. Za kilka tygodni miałem się ze wszystkimi pożegnać, pewnie na zawsze.

Pani Anna miała długie czarne włosy i piękny uśmiech. Usiedliśmy wszyscy na ławce przed ośrodkiem. Było bardzo ciepło, czerwcowe słońce wisiało wysoko

na niebie, dookoła ośrodka kwitły kolorowe kwiaty. Na boisku starsi chłopcy rozgrywali mecz, ale ich drużyny składały się tylko z kilku zawodników.

– Coraz tu mniej ludzi – wyjaśnił pani Annie tata. – Wszyscy się wyprowadzają, jadą w różne miejsca Polski. Najbliżsi sąsiedzi, Oksana, Marek i ich dzieci, Helenka i Jaś, właśnie przenieśli się do Olsztyna. Marek dostał pracę w serwisie komputerowym. Jest inżynierem informatykiem, takich wszędzie potrzeba. Nasza duża rodzina nie dostała jeszcze żadnej informacji.

– Mam nadzieję, że propozycja naszej fundacji wam się spodoba – powiedziała pani Anna. – Czeka na was mieszkanie w bloku w niedużym mieście na południu Polski, niedaleko Krakowa. Mieszkanie ma trzy pokoje, chociaż niewielki metraż. Jest z balkonem, na parterze, na spokojnym osiedlu. W pobliżu znajduje się duży park, za osiedlem jest las, a szkołę widać z okna kuchni – wręczyła tacie zdjęcia. – Nie ma jeszcze mebli, ale wielu ludzi obiecało pomóc, więc wyposażymy mieszkanie przed waszą przeprowadzką.

Oglądaliśmy zdjęcia z zaciekawieniem. Mieszkanie było rzeczywiście puste, ale jasne i pomalowane na pastelowe kolory. Wszystko, o czym mówiła pani Anna, się zgadzało.

– Od nowego roku szkolnego chłopcy mogą chodzić do tej szkoły – pokazywała kolejne zdjęcia, na których widać było nowoczesny, biały budynek z czerwonym

dachem i czerwonymi okiennicami. – Dla Natalii na pewno znajdzie się miejsce w przedszkolu. W mieście jest kilka wielkich zakładów, myślę, że z pracą dla pana nie będzie kłopotu. Mówi pan doskonale po polsku.

– Bo ja jestem Polakiem – podkreślił tata. – Tyle że urodzonym i wychowanym na Ukrainie. Ale studia kończyłem w Krakowie. Zawsze marzyłem o tym, żeby przyjechać do Polski. Teraz marzenia się spełniają. Chociaż nie tak to miało wyglądać...

– My z dziećmi jeszcze uczymy się polskiego – wtrąciła mama. – Dzieci mówią coraz lepiej, a Natalka zna nawet wierszyki.

Dobrze jest mieć młodszą siostrę. Nikomu na szczęście nie przyszło do głowy, żebym to ja miał się popisować znajomością języka.

Tylko że Natalka zawstydziała się i mocno przyłgnęła do taty.

– Ale teraz nie będę mówić – szepnęła mu na ucho.

– Czyli jak? Pomyślcie o tej propozycji? – uśmiechnęła się pani Anna.

– Lepszej nie możemy sobie wyobrazić – odpowiedziała mama. – Chyba znaleźliśmy dom.

W ośrodku oprócz nas zostało jeszcze kilka rodzin. Na przeprowadzkę do Warszawy czekała też ciocia Anuska i nasze dwie kuzynki. Ciocia miała już zapewnioną pracę we włoskiej restauracji, martwiła się tylko, czy będzie potrafiła gotować makarony i piec pizze.

Z Weroniką często siedzieliśmy razem w autobusie szkolnym, opowiadaliśmy sobie historie z Ukrainy, z naszych wspólnych wakacji na Krymie. Weronika o wiele częściej kontaktowała się z dziadkami, wiedziała, że mają kłopoty ze zdobyciem jedzenia, że ciągle brakuje wody.

– Ta cholerna wojna – powtarzała. – Jak się tylko skończy, wracam do domu.

– Ale przecież nie możesz sama wracać – sprowadzałem ją na ziemię. – Twoja mama mówi, że będziesz chodzić do szkoły w Warszawie.

– Trochę pochodzę, ale jak tylko babcia i dziadek dadzą znać, że jest bezpiecznie, to wracam. Ucieknę z domu najwyżej. To znaczy nie wiem, z jakiego domu, bo ciągle nie znamy w Warszawie adresu. A w Doniecku domu nie ma, same gruzy.

– A twój chłopak? – odważyłem się zapytać.

– Co mój chłopak? – odburknęła.

– No co z nim? Miał tu przecież przyjechać?

– No i nie przyjechał. Nie chcę go znać. Przestał pisać, dzwonić. Taka to była miłość, widzisz. Krótkodystansowa. Pierwsze trudności i już się poddał.

– Ale może...

– Romuś, nie próbuj. Jesteś za mały, żeby to zrozumieć. I nie do Saszy chcę wracać. Ja po prostu nie wyobrażam sobie życia tutaj. Mamę jakoś przekonam, że babcia i dziadek nie mogą być sami. No bo nikogo tam

już nie mają. Żeby się tylko ta wojna skończyła! Ale na wakacje to chętnie do was będę przyjeżdżać. Pójdziemy na wycieczkę w góry, jak prawdziwi turyści.

Jechaliśmy granatowym busem przez całą Polskę, z północy na południe. Zaczynało się lato, na drodze był spory ruch, wszyscy jechali na wakacje. Krajobraz zmieniał się, im bliżej byliśmy celu. Coraz więcej pokonywaliśmy pagórków, aż w końcu na horyzoncie pokazały się zalesione góry.

– Będziecie mieć piękne tereny na wycieczki – powiedział kierujący busem pan Staszek. – Aż wam zazdrościć. Na naszych Mazurach to wszędzie płasko, nawet zmęczyć się nie ma jak.

– Ech, na Mazurach też było ładnie – uśmiechnęła się mama. – Zawsze będziemy pamiętać, że to u was znaleźliśmy spokój i nareszcie poczuliśmy się bezpiecznie.

– No ale dom będziecie mieć tu – pokazał pan Staszek, bo właśnie wjechaliśmy do miasta.

Po kilku minutach bus zatrzymał się przed jasnym blokiem na nowoczesnym osiedlu. Przed wejściem czekała na nas pani Anna i kilka nieznanym osób.

– Witamy w domu! – zawołali, kiedy otworzyły się drzwi busa. – Zapraszamy do środka.

Weszliśmy do mieszkania razem z mamą. Tata siedł za nami z Natalką na rękach.

– Oj, tu jest wszystko, czego nam potrzeba! – wzdychała wzruszona mama, kiedy przechodziliśmy z pokoju

do pokoju, oglądaliśmy meble, otwieraliśmy szafki, zaglądaliśmy do łazienki i na balkon. W końcu znaleźliśmy się w kuchni.

– Pewnie sporo brakuje – zauważyła pani Ania. – Ale to, co najważniejsze, udało nam się dla was zdobyć. Jest i lodówka, i pralka, trochę naczyń i garnków. A to pokój dzieci – otworzyła jeszcze jedno, zamknięte do tej pory drzwi.

Na łóżkach leżała kolorowa pościel, pokój miał brzo-
skwiniowe ściany, w kącie stał kosz z zabawkami, a pod
oknem dwa biurka.

– I tor wyścigowy! – zawołał Mikołaj. – Ale super!
Są samochodziki! I straż pożarna! I policja!

– Natalia, patrz, ale masz fajny domek dla lalek! –
zajrzałem do różowego pudełka.

Ale Natalka nie chciała puścić taty. Wtuliła się w nie-
go i zapytała:

– A gdzie będzie pokój dla babci i dziadka?

Upalne lato przeleciało nam nie wiadomo kiedy na
poznawaniu okolicy, urządzaniu nowego domu, lekcjach
polskiego i szukaniu przez tatę pracy.

Dwa dni przed początkiem roku szkolnego na osiedlu
znowu zjawiała się pani Anna. Tym razem jej samochód
ciągnął za sobą przyczepkę.

– No, chłopaki, musicie mi pomóc przy rozładunku!
– zawołała, zdejmując plandekę.

W przyczepce były dwa niebieskie rowery! Takie
same, jak te zostawione w Doniecku!

– Identyczne mieliśmy! – zawołałem. – Skąd pani
wiedziała?

– A bo widzisz, ja to jestem taką trochę wróżką,
trochę czarownicą, różne rzeczy wiem – uśmiechnęła
się pani Anna.

Mikołaj już siedział na swoim rowerze i wypróbowy-
wał dzwonek. Potem objechaliśmy z tatą całe osiedle.

Kiedy już leżeliśmy w łóżkach, Mikołaj nie mógł
usnąć. Tata przeczytał nam kilka rozdziałów o zwario-
wanej Pippi. Słysząc było spokojny oddech Natalii, mnie
kleiły się oczy, ale Mikołaj przewracał się z boku na bok.

– Tato?

– Tak, synku? Czemu nie śpisz?

– Bo ja ciągle myślę.

– O czym myślisz?

– Kto teraz jeździ na moim rowerku w Doniecku?

– Chyba nikt. Dzieci w Doniecku nie mogą jeździć na
rowerach. Na podwórkach i w mieście nie jest bezpiecz-
nie. Twój rower po prostu stoi w wózkowni.

– Czeka na mnie?

– Może tak. A może przyda się kiedyś innemu dziec-
ku. Jak już skończy się wojna.

– A kiedy się skończy?

– Tego niestety nikt nie wie.

Widziałem, że tato tego dnia był bardzo niespo-
kojny, kilka razy rozmawiał przez telefon. Mówił i po

ukraińsku, i po rosyjsku. Milkł, kiedy tylko wchodziłem do pokoju. Teraz zamknął się z mamą w kuchni. Przypomniały mi się te straszne wieczory w Doniecku. Ich ściszone głosy i pojedyncze słowa dobiegające zza zamkniętych drzwi. I tego wieczora znowu usłyszałem: „wybuch”, „bomba”, „rodzice”, „WOJNA”.

Nie wytrzymałem. Wstałem z łóżka i pobiegłem do kuchni.

– Coś się stało z dziadkami?! – krzychałem. – Tak? Bomba spadła na ich dom? Są ranni? No powiedz!

– Nie, synku – mama przygarnęła mnie. – Nie chodzi o dziadków. Zadzwoił tata Olka. W nasz blok trafiła rakietka. Spaliło się kilka mieszkań.

– I co? Co z naszym mieszkaniem? – musiałem to wiedzieć, nie mogli wszystkiego przede mną ukrywać.

– Nasze mieszkanie ocalało, ale jest bardzo zniszczone. Mieszkają w nim żołnierze – westchnął ciężko tata. – Teraz już naprawdę nie mamy do czego wracać.

– Jak było w szkole? – dopytywała mama codziennie przy kolacji.

Chciała wiedzieć, co działo się na lekcjach, czy mamy już kolegów, co robiliśmy na przerwach. Nie miałem zamiaru jej martwić, nie opowiadałem o Adrianie i Damianie, wiedziałem, że muszę sobie z tym poradzić sam. Tym bardziej, że w zerówce Mikołaja też nie wszystko się układało tak, jak wyobrażali to sobie rodzice.

Już po kilku dniach Mikołaj zaczął się skarżyć.

– Nie chcę chodzić do szkoły. Do tej zerówki. Nikogo tam nie znam. Nie mam się z kim bawić!

– Oj, nie martw się – pocieszała go mama. – Niedługo poznasz już wszystkich, na pewno będziesz mieć kolegów i koleżanki. Ten Maciek, którego spotkaliśmy w szatni, jest chyba miły?

– Nie wiem – Mikołaj nie był rozmowny.

– Zobaczysz, wkrótce kogoś polubisz i będzie fajnie – mama pogłaskała go po głowie.

Ale wcale nie było fajnie. Kiedy zająłem po kilku dniach na przerwie do jego sali, Mikołaj sam bawił się samochodzikami, a inne dzieci biegały po korytarzu. Jak tylko mnie zobaczył, podbiegł i przytulił się.

– Weźmiesz mnie do domu? Proszę. Nie chcę tu być.

– To ty mówisz, Mikołaj? – do klasy wpadł nieduży chłopak w czerwonym podkoszulku z dinozaurem. – Ej, Maciek, Tomek! On potrafi mówić!

– O co im chodzi? – nie bardzo rozumiałem i przykucnąłem przy Mikołaju. – Czego oni chcą?

– No bo on nic nie mówi na lekcjach. W ogóle się nie odzywa – chłopcy gadali jeden przez drugiego. – Pani go pyta, a on nic. No to chyba nie umie mówić?

– A moja mama powiedziała, że wy to nie jesteście Polakami, tylko uchodźcami – dorzucił Maciek – i dlatego nie można się z wami dogadać.

– A ze mną możesz się dogadać? – odwróciłem się do niego. – Rozumiesz mnie? Dociera, co mówię? – byłem już naprawdę zły.

– No tak... – odpowiedział niepewnie.

– To słuchaj teraz uważnie, bo nie będę powtarzał. Nie czepiaj się mojego brata! Jak będzie miał ochotę, to się do ciebie odezwie. Jasne?

– Jasne – pokiwali głowami wszyscy trzej. – Ale bawić toby się z nami mógł, nie? Nawet jak nie mówi po polsku.

– Co się tu dzieje? – pani wstała od biurka i podeszła do nas. – Widzę, że odwiedził nas starszy brat Mikołaja?

– To jest Roman – powiedział cicho Mikołaj. – On chodzi już do trzeciej klasy.

– Tak, wiem – uśmiechnęła się pani. – I chyba dzięki niemu nareszcie usłyszeliśmy twój głos. A wy, chłopcy, zdaje się, że nadal nie rozumiecie, dlaczego Mikołaj



znalazł się w naszej grupie. Przyjechał z rodzicami i rodzeństwem z Ukrainy – tłumaczyła pani. – To kraj, w którym jest wojna. Wielu ludzi musiało z niego uciec. U nas znajdują spokój i bezpieczne życie. A my mamy im w tym pomóc. Mikołaj już niedługo będzie świetnie mówić po polsku.

– Ja mówię po polsku – odezwał się cicho Mikołaj. – Tylko jeszcze nie wszystko, nie tak jak Roman. A moja siostra Natalka zna różne wierszyki, chociaż ma tylko trzy lata. Jak mieszkaliśmy w Doniecku, to ani słowa nie znała.

– To skąd ty jesteś? – nie rozumiały dzieci.

– Z Doniecka. A w Doniecku jest wojna.

Wyszedłem z klasy Mikołaja. Dotarło do mnie, jak ciężko było mojemu młodszemu bratu. Wiedział, że dzieci go nie rozumieją, nie potrafił im wytłumaczyć dlaczego, więc postanowił nie mówić. Zamilkł na wiele dni i wszyscy powoli się do tego przyzwyczaili.

Obejrzałem się za siebie. Mikołaj z Maćkiem i pozostałymi chłopakami rozłożyli się na dywanie i ustawiali parking dla samochodów. Sytuacja była opanowana. Nieźle mi poszło. Ale w mojej klasie czekali Adrian i Damian z tymi głupimi uśmieszkami.

Podszedłem do ich ławki.

– O, cześć, Ruski! – odezwał się Adrian. – Zgubiłeś się? Nie mogłeś trafić do klasy? Ojej, biedny mały Romuś!

Nachyliłem się nad nim i powiedziałem powoli i wyraźnie:

– Nie jestem Ruski. Jeśli już, to Ukrainiec. Ale twój mały mózg zdaje się nie jest w stanie pojąć tej różnicy? A rozumiesz, co do ciebie mówię?

– No... tak... – wydukał zaskoczony Adrian. Podobało mi się, że zapomniał języka w gębie. Teraz ja byłem górą.

– Ano właśnie. Jak rozumiesz, to znaczy, że mój polski nie jest taki beznadziejny. To słuchaj dalej. Niedawno widziałem czołgi, rakiety i żołnierzy z karabinami. Uciekaliśmy w nocy między płonącymi domami. Wtedy się bałem. Dlatego was się wcale nie boję. Boję się wojny, strzałów i wybuchów. Wy nie jesteście groźni, tylko głupi. *Durni!* I wcale mi na was nie zależy.

Adrian i Damian gapili się na mnie bez słowa.

Za plecami usłyszałem śmiech, podszedł do mnie Łukasz i poklepał mnie po plecach.

– I bardzo dobrze! – zawołał. – Trzeba było tak od razu. Oni potrafią tylko wyzywać się na słabszych. Mięczaki, teraz już nie podskoczą. Na dużej przerwie idziemy na boisko grać w piłkę, idziesz z nami?

Stałem na bramce tak jak kiedyś w Doniecku i potem w ośrodku w Rybakach. Nie puściłem żadnego gola.

Wieczorem przy kolacji opowiedzieliśmy rodzicom, co wydarzyło się w szkole. Tata kręcił głową

z niedowierzaniem, kiedy tłumaczyłem, dlaczego Mikołaj milczał w szkole.

– Ale dokuczali ci jeszcze potem jakoś? – zapytał.

– Nie – odpowiedział Mikołaj. – Pani poprosiła, żebym ich nauczył kilku słów po ukraińsku. W szatni to już wszyscy wołali „*do pobaczennia!*”. Ale tato, oni nigdy nie zobaczą moich zabawek, mojego pokoju, naszego placu zabaw. Czemu nie możemy pojechać do naszego domu?

– Synku – tata chwilę pomilczał, potem wziął Mikołaja na kolana. – Nie wiem, czy kiedykolwiek wrócimy do tamtego domu. Na razie na pewno nie.

– Ale dlaczego? – upierał się Mikołaj.

– Bo teraz są tam żołnierze. W każdej chwili ktoś może wejść do twojego pokoju, a ja nie będę w stanie go powstrzymać. Może zniszczyć twoje zabawki, popsuć rower, położyć się do twojego łóżka. A ja nic na to nie poradzę. On może do nas strzelać. A my strzelać nie chcemy i nie mamy się jak bronić.

– A kiedyś się ta wojna skończy? – zapytałem.

– Na pewno. Ale nie wiemy kiedy. Nie wiadomo, co się tam jeszcze będzie dziać, bo ta wojna to nie film, to nie zabawa, to nie komputerowa gra. Ta wojna jest prawdziwa. Teraz tu jest nasz dom.

Posłowie

W waszej szkole, klasie, może na podwórku albo w drużynie sportowej pojawiają się coraz częściej młodsze i starsze dzieci, które nie zawsze was rozumieją, mają kłopoty z dogadaniem się z wami, a jeśli mówią po polsku, to słyszycie tajemniczy, śpiewny akcent. Przyjeżdżają do Polski zza wschodniej granicy, z Ukrainy, kraju, w którym ich rodziny nie czuły się bezpiecznie. Dzieci nie mogły tam chodzić do szkoły, rodzice stracili pracę, ojcowie i wujkowie brali udział w działaniach wojennych.

Polska przyjęła wiele takich rodzin, dla których najważniejsze było zapewnienie swoim dzieciom bezpieczeństwa i spokoju. Wśród nich są Polacy, potomkowie osób, które w przeszłości z różnych powodów znalazły się w tamtej części Europy. Pielęgnowali polską kulturę, mówili po polsku, czytali polskie książki, ale mieszkali najpierw w Związku Radzieckim, a potem na Ukrainie.

Kiedy w ich kraju wybuchła wojna, w wielu miastach i wioskach życie stało się nie do zniesienia. Dzięki polskiemu programowi pomocy mogli przyjechać do Polski. Dla wielu z nich była to podróż w jedną stronę – zdecydowali się pozostać w Polsce na długo, może na zawsze. Są też i tacy, którzy chcieliby kiedyś wrócić na Ukrainę.

W takiej grupie, która została ewakuowana z ukraińskiego miasta Donieck, znalazła się rodzina, o której opowiada ta książka. Rodzice z trójką małych dzieci zdecydowali się zostawić swój dom i zacząć zupełnie nowe życie. Tata jest Polakiem, mama i dzieci Ukraińcami. Po półrocznym pobycie w ośrodku dla uchodźców w Rybakach na Mazurach, przyjęli propozycję jednego z miast na południu Polski i fundacji Anny Dymnej Mimo wszystko, która użyczyła im mieszkania.

Historia opisana w tej książce jest tylko nieznacznie zmieniona. Ukraińska rodzina marzy o spokoju i normalnym życiu dla swoich dzieci. Ich przyjazdowi do Polski towarzyszyło duże zainteresowanie telewizji i prasy, teraz rodzice chronią dzieci przed kamerami i obiektywami aparatów. Dlatego w książce zmieniłam imiona bohaterów, nie napisałam, gdzie naprawdę mieszkają, i trochę poplątałam ich losy.

Ale powód, dla którego znaleźli się w Polsce, jest prawdziwy. W Doniecku naprawdę spadały bomby, strzelało wojsko, płonęły budynki, rakietą trafiła w szkołę, ludzie chowali się w piwnicach. To wszystko spotkało naszych najbliższych ukraińskich sąsiadów. Teraz tu, u nas, w Polsce, jest ich dom.

Barbara Gawryluk

Barbara Gawryluk
Teraz tu jest nasz dom

© by Barbara Gawryluk
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Maciej Szymanowicz

Redakcja i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-442-3

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2016
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
faks (42) 632 30 24
www.wyd-literatura.com.pl